

MIŁOŚĆ PODEJMUJE ZA NAS DECYZJE

Co wieczór w okolicach godziny 20 muszę przeżyć straszny ból

Z AKTOREM **MIROŚLAWEM BAKĄ***
ROZMAWIA **DOROTA WODECKA**

Pół wieku po premierze „Chłopów” w reżyserii Jana Rybkowskiego półtora miliona widzów zapamięta nową twarz Macieja Boryny.

– Byłem zdziwiony, że będzie to właśnie moja twarz. Kiedy mi zaproponowano tę rolę, pomyślałem: Jak to, to już? Jestem „w tym wieku”?

Za tydzień ma pan urodziny

–No tak, sześćdziesiąte

Nie zdziwił się pan, że zagra w filmie poniekąd namalowanym?

– Nierzadko ludzie sobie wyobrażają, że nas sfotografowano, a potem jak Myszke Miki wklejono w animowane sytuacje. Tymczasem my ten film rzetelnie, „po bożemu” zegraliśmy. Jedną z pierwszych i bardzo istotnych uwag reżyserskich na planie brzmiała, abyśmy – jak w każdym innym filmowym projekcie – skupili się na granii postaci, relacji, uczuć, nie myśląc o tym, że będziemy pomalowani. Ale nie da się zaprzeczyć, że w chwilach, kiedy czułem, że udało mi się zagrać – zwłaszcza na zbliżeniu – jakąś istotną aktorską drobnostkę, jakiś pozornie mało znaczący niuans, coś drobnego w moich oczach, w twarzy czy w dłoniach, zastanawiałem się, czy oni to tym pędzikiem namalują. Namalowali.

Pejzaże i sceny zbiorowe oparte na malarstwie dodają tej wsi trochę idylliczności.

– Myślę, że ta wieś to jest momentami idylliczna, by wyraźniej wybrzmiało okrucieństwo jej małej społeczności. Na kolorowym tle ludowych strojów, urokliwej muzyki, pojawiają się sceny pełne okrucieństwa. W ludziach, którzy pięć minut wcześniej uśmiechają się do siebie, wybucha nienawiść, pogarda i złość. Przemoc napędza przemoc, od bójek, aż do znęcania się wiejskiej gromady nad Jagną.

Z poprzedniej ekranizacji zapamiętałam Władysława Hańcicę i jego grubiańskiego bohatera, któremu pan przydał sporo wrażliwości. Wyczytał ją pan u Reymonta?

– Trochę wyczytałem, trochę przeczulem, na jeszcze większe „trochę” pozwoliłem sobie. „Chłopi”, podobnie jak większość dzieł literackich z listy lektur, stanowią najczęściej dla młodych ludzi materiał trudny do ogarnięcia. Owszem, trzeba starać się młodych ludzi uwrażliwiać, pokazując im piękno literatury, ale nie należy oczekiwać od nastolatka, choćby nie wiem jak wrażliwego, że w całej rozciągłości zrozumie i doceni złożoność i walory dzieła, jakim są na przykład „Chłopi”. Że wspomnę tu słynne Gombrowiczowskie: „Dla czego Słowacki wielkim poetą był?”

Wrażenie z lektury „Chłopów” pan pamięta?

– Prawdopodobnie mieściło się w średniej statystycznej, czyli: „co mnie obchodzi, co się na tej wsi działo?”, i „dlaczego muszę czytać te nudne i długie opisy?”. Liceum to czas, kiedy się żyje bujnie, szybko i mocno i nie marnuje się go na czytanie długich powieściowych akapitów, kiedy nic się nie dzieje. Dziś z lubością, ze zrozumieniem i z zachwytem mogłem przeczytać dzieło Reymonta na nowo. Dotyczy to zresztą wielu innych

wielkich dzieł naszej literatury. Doszedłem do tego po przeczytaniu setek najróżniejszych książek, zagranii ponad stu ról w teatrze i filmie, po spotkaniu wielu istotnych dla mnie ludzi. Rzeczybym nawet, że z każdą przeżyta dekadą te same książki czytałem i przeżywałem inaczej. A do „Chłopów” wróciłem po raz pierwszy przy okazji tego „zawodowego” odczytania na nowo.

Czym się różni od czytania bezinteresownego?

– Jest z pewnością bardziej wnikliwe. To wchodzenie w świat powieści na nowo, ale tym razem już z perspektywą postaci, którą mam grać. Patrzenie na Lipce oczami Macieja Boryny. Muszę bardzo uważnie przyjrzeć się innemu bohaterom, całemu otoczeniu, po to, bym zakładając kostium i wchodząc na plan, wiedział, kim jestem, co się wokół mnie dzieje, kim są ludzie obok i jakie są moje relacje z nimi. Czyli wszystko, co jest ważne przy rzetelnym budowaniu roli. Zadaniem, które sobie założyłem, było poprowadzenie roli Boryny w taki sposób, by jego relacja z Jagną nie stała się czarno-biała. Że oto po jednej stronie opowieści mamy Jagnę, cudo wrażliwe, wspaniałe i bez skazy, a po drugiej Borynę, starego, oblesnego dziada, który chce ją przymusić do ślubu i wspólnego życia. Aktorskim wyzwaniem było dla mnie pokazanie tej jego niepowtarzalnej mieszanki stanowczości i wrażliwości.

**Przecież zdarzyć się może,
że największy bandzior
zasmarka się na widok głodnego
szczeniaka, który patrzy na niego
wielkimi oczami,
bo mu się wtedy w pamięci coś
odkleja z dzieciństwa**

Na piękno młodej kobiety i jej ciała? Bo właściwie dlaczego albo do czego Maciej potrzebował Jagny?

– Może miał nadzieję, że dożyje kresu życia z piękną dziewczyną, która się nim zaopiekuje? Nie znalazłem tej intencji napisanej wprost, raczej wyczytałem ją między wierszami. Szczególnie w trakcie scen wesela próbowałem ukazać Borynowe zachwycenie Jagną. Ale nie zachwyty z posiadanej zabawki, tylko wdzięczność wobec losu, że jemu się w życiu jeszcze coś takiego zdarzyło. Patrząc na nią, niczym w obrazek, widzi kobietę, która nie kojarzy mu się z prosiakami czy obrabianiem pola, tylko z pięknem i wrażliwością. Zapewnia ją zresztą, że robić w polu nie będzie musiała, bo on będzie robił za nią. I mam nadzieję, że udało mi się pokazać ból Macieja, kiedy zaczyna do niego docierać, że Jagna nie tylko go nie kocha, ale nawet nie lubi, a największym jego konkurentem jest jego własny syn.

Jednym słowem, kierował nim pragmatyzm, czyli szklanka wody podana na starość?

– Niech to będzie pragmatyzm, ale na pewno ładniejszy niż zimna kalkulacja. Nie chciałem, by motywacja

Boryny do ponownego ożenku skończyła się na jego rechocie, że ma młodą kobitkę, którą może złapać za pupę. Zawsze, bez względu na to, jakiegokolwiek zwyroła czy mordercę bym zagrał, szukam w swoich bohaterach człowieka. Staram się wydobyć iskrę bożą wpisaną w ecce homo, czyli dobro, coś nieskażonego, czystego, przyniesionego przez czas, życie i jego często ponure okoliczności. Przecież zdarzyć się może, że największy bandzior zasmarka się na widok głodnego, małego szczeniaka, który patrzy na niego wielkimi oczami, bo mu się wtedy w pamięci coś odkleja z dzieciństwa.

Dlatego z każdej postaci staram się wydobyć to, czego nie widać na pierwszy ani nawet na kolejny rzut oka. Chociaż mam wrażenie, że opowiadam teraz oczywistości.

Niekoniecznie, zważywszy, że przy okazji dogrzebuje się pan do siebie, tak?

– Nie da się tego inaczej zrobić.

Zawsze mnie ciekawiło, czy aktorstwo jest rodzajem terapii, co z kolei jest oczywistym pytaniem.

– Paradoks mojego zawodu polega na tym, że z jednej strony rozczytuję się w sobie, w człowieku, co ma znaczenie poznawcze i terapeutyczne, ale z drugiej strony to głębokie grzebanie w sobie nie jest przecież poszukiwaniem tylko jasnych stron. Muszę dokopać się do ciemności, by wywlec ją na zewnątrz i nią także oblepić rolę. Rzeźba z gliny. Pobrudzone ręce. Taka szczerłość nie zawsze dobrze się kończy. I niekoniecznie jest terapeutyczna.

Bo dowiaduje się pan o sobie czegoś, czego nie chciałby wiedzieć?

– Wiedza nigdy nie jest zła. Mam na myśli rzeczywisty moment wywleknięcia na zewnątrz części „ja”, która tkwi gdzieś głęboko w bezpiecznej otulinie. Czuję się wtedy jakby odarty ze skóry, wszystko mnie bardziej boli, nie mam żadnej ochrony zewnętrznej. Wiwisekcja to nic milego. Proszę sobie wyobrazić człowieka niemającego nic wspólnego z aktorstwem, którego sadza się przed kamerą i każe mu się mówić o swojej intymności.

Wy mówicie wprawdzie o swojej intymności, ale chowacie się za bohaterów.

– Co to znaczy, że ja się chowam?

„Nie cierpię naprawdę, tylko gram cierpienie”?

– Nonsens. Nie mogę się posiłkować wyłącznie formą, bo wtedy w mojej postaci nie będzie wnętrza. Mam mimiką twarzy budować jej wzruszenie? To jest formalne. Puste. Jeśli nie będę czuł bólu psychicznego czy wyobrażonego fizycznego, to nikt mi nie uwierzy. Słyszała pani na pewno, że jeśli będzie się uśmiechać, bez względu na okoliczności, to uda się pani oszukać mózg. Wydzielią się w naszym organizmie substancje odpowiedzialne za dobry nastrój już tylko pod wpływem impulsu płynącego od kurczących się mięśni twarzy. To działa w dwie strony. Jeśli co wieczór mam iść do teatru, stanąć przed widzami i zagrać niesłychany ból ojca, który stracił dziecko, a widz ma mi uwierzyć, to mój organizm musi cierpieć. A to cierpienie to nie tylko lzy płynące z oczu, ale też skurcz żołądka. Dygot. Nie tylko zresztą.

FOT. WOJCIECH HABBAS / AGENCJA WYBORCZA.PL



Aż tak?

– Aktor powinien wierzyć w to, co gra. Nie powinien udawać, oszukiwać, kłamać, tylko czuć. Podając za przykład teatr, przywołuję skrajności, bo na planie filmowym mogę się doprowadzić do każdego stanu, zrobić jeden, dwa, góra trzy duple i wyjść z trudnej sceny. A w teatrze gram przez tydzień Hamleta, Ryszarda III czy Willy'ego Lomana i co wieczór w okolicach godziny 20 muszę przeżyć straszny ból, który nie jest udawany.

Wydawało mi się anegdotyczne, że w trakcie spektaklu „Ryszard III” powiedział pan publiczności: „Dłużej już nie mogę” i zemdlał...

– Ale publiczność myślała, że tak miało być, i zaczęła bić brawo...

...a na planie „Krótkiego filmu o zabijaniu” przez kilka czy kilkanaście sekund wisiał pan naprawdę na szubienicy...

– Miałem stać na koniuszkach palców, co było precyzyjnie wyliczone, ale facet, który kręcił korbą napinającą linę, dołożył od siebie dwa obroty. Na szczęście kierownik planu zorientował się, że wiszę naprawdę, chwycił mnie wpół i uniół do góry. A Kieślowski z operatorem zajęci już byli analizowaniem ujęcia i nawet tego nie zauważyli.

Po tym, co pan mówi, ta anegdota trochę traci, bo staje się opowieścią o kosztach pracy.

– Kiedy wracam do domu po trudnym spektaklu, moja żona nigdy nie mówi, bym się położył spać, bo wie, że zanim adrenalina w organizmie się uspokoi, musi minąć pewien czas. Nie dziwi jej, że zostaję w gabinecie i czytam do późna. Ale przynajmniej nie udaję, nie wychodzę po spektaklu i nie zapalam papierosa albo gadam przez telefon. Nie potrafię tego, co przeżywam, precyzyjnie zdefiniować. Dlatego pewnie nigdy nie uczyłem i nie będę uczył aktorstwa.

Dlaczego? Jest pan gawędziarzem.

– Może, ale studentom trzeba powiedzieć, wytłumaczyć, wskazać drogę, nauczyć, a nie gawędzić. Dać receptę. A ja nie mam żyłki pedagogicznej i nie jestem nawet pewien, czy i pani potrafię wytłumaczyć.

Ale właściwie po co to panu było?

– Co? Aktorstwo?

Tak. Chłopakowi z Ostrowca Świętokrzyskiego.

– Jestem dość wstydliwym człowiekiem i wybrałem zawód, by mój wstyd, moją nieśmiałość jakoś pokonać, obejść i ukryć.

Udało się?

– Nie jestem pewny.

Odkrywana wiejskość, która przez długie lata kojarzyła się z gorszością i wstydem pochodzenia, patriarchat, którego ofiarą jest Jagna, trudne relacje ojca i syna to doświadczenia, do których się pan musiał dogrzebywać czy raczej był i jest ich świadom.

– Odziedziczyłem wstyd, ale czy ja wiem, czy on jest chłopski? Moi dziadkowie i pradiadkowie po kądzieli pochodzili z sandomierskich wsi. To Polska nadwiślańska, lessowa, swojska i piękna. Ale ja urodziłem się w mieście. Miałem ciotkę w Warszawie i byłem szczęśliwy, kiedy do niej jechałem w odwiedziny, choć znacznie częściej jeździłem na wieś pod Klimontów, a wtedy już tak szczęśliwy nie byłem. Czy ta różnica brała się ze wstydu czy z nudy, to nie wiem. Oczywiście ludzie nadal nie szcżą się tym, że wychowali się w jakimś Pimpowie, a z dumą opowiadają, że są z Warszawy czy z Krakowa, ale nie przypominam sobie, bym miał z tym problemy.

Na studiach w Warszawie też nie?

– Na jednych z pierwszych zajęć Andrzej Łapicki, który był naszym opiekunem roku, zapytał nas, młodzia-

*Mirosław Baka

• Urodził się 15 grudnia 1963 roku w Ostrowcu Świętokrzyskim. Jeden z najwybitniejszych polskich aktorów filmowych i teatralnych. Jeszcze w czasie studiów zagrał główną rolę w „Krótkim filmie o zabijaniu” Krzysztofa Kieślowskiego. Od tamtej pory zagrał w kilkudziesięciu filmach, między innymi u Andrzeja Wajdy, Waldemara Krzystka i Władysława Pasikowskiego. Ostatnio można go było oglądać w „Chłopach” i serialu „Belfer”. Zawodowo związany z Teatrem Wybrzeże. Mieszka w Gdańsku, w stuletnim domu. Jest mężem Joanny Kreft-Baki. Mają dwóch synów i wnuka

Mam nadzieję, że udało mi się pokazać ból Macieja, kiedy zaczyna do niego docierać, że Jagna nie tylko go nie kocha, ale nawet nie lubi



FOT. NEXT FILM

ków, którzy właśnie dostali się do szkoły, na czym ostatnio byliśmy w teatrze. Koledzy z Warszawy opowiadali o niedawnych premierach, a kiedy przyszła kolej na mnie, powiedziałem, że byłem na „Dekameronie” Hanuszkiewicza. Wszyscy spojrzeli na mnie ze zdziwieniem, bo ten spektakl pojawił się na scenie kilka lat wcześniej, a Łapicki doprecyzował, że pyta, na czym byłem ostatnio. Powiedziałem: żeby było jasne, byłem dwa razy w życiu w teatrze, raz na wycieczce w Krakowie na „Locie nad kukulczym gniazdem”, a drugi raz na „Dekameronie” w Narodowym i bardzo mi się to podobało.

Wydaje się odważne.

– To był nie tyle akt odwagi, chociaż może w środku bulgotałem, ile raczej złość, że, kurwa, co?! Dostałem się tak samo jak wy, chociaż nie było mi dane mieszkać blisko teatru. Więc może nie chłopski wstyd, tylko chłopiska duma się we mnie odezwała? Ta wypowiedź była dla mnie ważna i oczyszczająca, bo nie kłamałem i nie zmyślałem, tylko powiedziałem, kim jestem. Ostrowiakiem. A mój prapradziadek, dziadek i ojciec pracowali w hucie.

A prababki, babki i mama?

– Pyta pani o patriariat? Nie znam z domu. Rodzice to najzwyczajniejsze socjalistyczne małżeństwo w małym mieście. Mama pracowała w kiosku, a ojciec w hucie, oboje długo i ciężko. Wychowywałem się u rodziców mamy, ale i tam ani dziadek Józef nie siadał u szczytu stołu, obwieszczając, co zrobić należy, a czego nie należy, ani kobiety się go nie bały, a już moja babcia Zosia to w ogóle.

Dziadek nie miał nóg, był kaleką wojennym, zajmował się w domu szewstwem. Zrobił mi pierwsze w życiu buciki i uszył wszystkie dziecięce trzewiki.

Złota rączka. Skonstruował sobie wózek do jeżdżenia po domu, ale do kościoła chodził w protezach. Kilometr w jedną stronę, tydzień w tydzień. Nie mógł pójść do pracy, dlatego do pracy chodziła babcia, a „dziaju” w tym czasie gotował obiad. Przybijaniem gwoździ do ściany też zajmowała się babcia i być może czuł, że skoro kobieta zajmuje się męskimi sprawami, to on nie może strzelić pięścią w stół. Był dla mnie wzorem spokoju i stanowczości. Nie pamiętam, by podniósł głos. Jego autorytet wynikał z jego

dobroci i łagodności. Domy babci i dziadka, ale i prababci Marianny i pradziadka Rocha były domami pełnymi miłości i ja jako jedyny w tamtym czasie wnucek nigdy na jej brak nie narzekałem.

Ma pan ich zdjęcie w telefonie?

– Właśnie szukam, by pani pokazać. To reprinty ze starych fotografii. Proszę: pod jabłką dziadek i ja, a tu ćmi cygarety, i jego córki – moja mama i ciotka. Józef miał dar rozmawiania z dziećmi, mieliśmy swoje szeptańskie na ucho tajemnice i swoje radości. Wiedział, jaką zabawkę mi wystrugać, jak bawić się ze mną w chowanego, jak mnie rozśmieszać i jakie bajki mi opowiadać. Wystrugał mi ciężarówkę i oczywiście karabin. Na ostatnim piętrze w klatce, gdzie mieszkali dziadkowie, mieszkał chłopiec, któremu rodzice przywozili z Zachodu zabawki, o jakich dzieci w Polsce mogli tylko pomarzyć. I on ciągle chciał się ze mną zamieniać.

Zamienialiście się?

– Nie, bo wiedziałem, że dziadkowi byłoby przykro. Poza tym robiliśmy te zabawki razem. Siadałem obok niego, dostawałem papierki ścierny albo klej i wspólnie pracowaliśmy. Może przez ten wspólny czas tak bardzo się z nim zżyłem i tak bardzo go pokochałem. Babcia Zosia była miła i kochana, ale jak biegałem do dziadków, to najpierw jemu rzucałem się na szyję.

Co pan ma z niego?

– Moja żona często mówi, że kiedy mnie poznała, to uderzył ją mój wewnętrzny spokój. Możliwe, że go w swoim życiu traciłem, ale dziś, kiedy zaczynam powoli wyhamowywać, czyli upraszczać życie, czuję, że ten spokój dziadka jest we mnie. Czasami zdarzały mi się chwile słabości, kiedy mówiłem, że ja ciężko pracuję i dlatego będzie tak i tak, ale bardzo szybko za nie przeproszałem, bo czułem, że to błażństwo jest. Zachowanie vice versa też byłoby błażństwem, bo w związku próba dominacji jednej ze stron jest niczym dobrym. Najbliższej nam z Joaśką do określenia „związek partnerski”.

Józefową wiarę też pan ma?

– Istotną częścią mojego życia była kiedyś wiara katolicka, ale teraz odczuwam niesmak i niechęć, kiedy myślę o Kościele i jego soju-

szu z PiS-em. Ale harcerzem wciąż się czuję, mimo że od studiów nie włożyłem munduru.

„Czystość i prawość to nasza broń./ Zawsze gotowi, gdy się wydarzy, podać bliźniemu pomocną dłoń”, tak to szło w hymnie?

– Mniej więcej, dopóki nie dodali socjalistycznych wtrętów i bialo-czerwonych krajek. Ale wątpię, czy jakkolwiek harcerz przejmował się ideologią socjalistyczną. Harcerstwo to była przygoda. I zabawa. I fajni ludzie.

Chłopaków swoich pan w nie wciągnął?

– W nic nie chciałem ich wciągać oprócz aktywności w ogóle. Sami sobie wybierali, w co chcieli się wciągnąć.

Ucząc się ojcostwa, miał pan wdrukowanego dziadka czy ojca?

– Wychowując moich chłopców, starałem się nie myśleć o konfliktach z ojcem, które zaczęły się dosyć wcześnie. Pilnowałem się, by nie powiełać jego błędów, tylko zachowywać się jak dziadek, czyli siła spokoju. Rzec by można, że rzadko mi się to udawało. Dorastanie synów przypadło na okres mojego bardzo intensywnego życia zawodowego, ciężkich i dużych ról w teatrze i w filmie, a mówiliśmy już o tym, że ten zawód mocno demoluje człowieka. Nie znam aktorów, którzy by byli oazami spokoju, zwykle są portargani psychicznie.

Pił pan?

– Nie żeby to było jakoś niebezpieczne.

Więc czego pan z ojca nie chciał powiełać?

– Ojciec miał wypadek samochodowy. Spędził pół roku w szpitalu, na wyciągach, co go zdemolowało psychicznie. Stał się upierdliwym człowiekiem, bez chęci zrozumienia mnie i moich problemów. Chciał być ojcem, który rządzi i zrędzi, przez co stał się nie do zniesienia. Miałem chyba 13 lat, gdy wszedł do mnie do pokoju, z pretensjami oczywiście, a ja rzuciłem w niego jakimś przedmiotem i wykrzyczałem, że go nienawidzę.

Też mi się to zdarzyło i prawdopodobnie wielu innym nastolatkom.

– Ale ja się zawzięłem i przez dwa lata z nim nie rozmawiałem. Mama też miała dość. Miałem 16 lat, kiedy się rozeszli. Złożył drugą rodzinę. O, a tu jest zdjęcie domu, w którym się urodziłem. Nad rzeczką.

– Bo został zapisany synowi mojego ojca. Nie znam go.

Czemu go pan nie kupi?

– Nawet nie wiem, czy żyje, czy nie żyje. Jakby zginął w tamtym wypadku, to zachowałbym całkiem fajne wspomnienia z dzieciństwa zamiast tego wszystkiego, co było potem.

Nie ma pan z ojcem kontaktu?

– Nawet nie wiem, czy żyje, czy nie żyje. Jakby zginął w tamtym wypadku, to zachowałbym całkiem fajne wspomnienia z dzieciństwa zamiast tego wszystkiego, co było potem.

Ślub?

– Zaprosiłem go. Nie przyjechał. Przesłał list pełen pretensji czy pouczeń. Nie pamiętam.

Wyrwa?

– Wyrwa.

Boli?

– Są takie rany, które się długo goją, ale jak się zagoją, to już nie czuje się nic.

Jeśli to jest pociecha, to ustaliliśmy, że rany w pana zawodzie mają swoje plusy.

– Tak ustaliliśmy.

Swoją drogą za pierwszym podejściem do niego wylali pana z Akademii Teatralnej. Dlaczego?

– Nie wiem. Nikt mi nie powiedział dlaczego.

Zdaje mi się, że paradoksalnie dopiero wtedy pan dojrzał do aktorstwa.

– Byłem sanitariuszem w pogotowiu ratunkowym, bo w ten sposób mogłem odroczyć służbę wojskową, i tam znalazłem życia prawdziwszego niż to znane mi z książek czy z filmów. Utkwiły mi w pamięci dwa zdarzenia. Wzięliśmy do porodu rodzącą kobietę. Na szczęście nie urodziła w karetce, a ściślej mówiąc – w polskim fiacie 125p. Byłem przejęty, że będę musiał odbierać poród, o czym niewiele wiedziałem. Byliśmy sanitariuszami od dawania zastrzyków, pierwszej pomocy, ale, na Boga, nie od odbierania porodów, chociaż pewnie z pomocą kierowcy musielibyśmy to zrobić. Przez całą drogę bałem się, że to się może zdarzyć, a ja nie będę umiał pomóc. Zaczęła rodzić na izbie przyjęć.

Co pana wzruszało?

